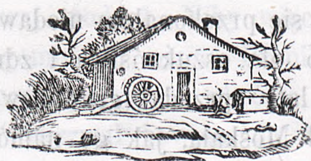
Nr. 15 16. Z 10. Czerwca 1872. **Tom V.**

Rok XIII.
Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje z przesyłką pocztową w państwie Austryackiem 2 złr. rocznie, 1 złr. półrocznie. W Prusach 2 tal. r. 1 tal. półrocznie.





PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Pogadanki.

W nasze wiekowe siedziby
Szarańczy tabor nadchodzi,
Zgłodniały rodzajne skiby,
Schnie każda ziemi piędź,
Nim się osiedli — rozrodzi,
Boże, szarańczę spędź!

Wierszyk ten — mówił innego wieczora Marcin, napisał Krakowianin Wasilewski. I wielka to prawda, co napisał. Podobnie bowiem jak szarańcza wciskają się wrogowie zewsząd w naszą ziemię. Z jednej strony Prusacy, z drugiej Moskale odbierają nam ziemię. Prusacy wprawdzie pomału, zwolna i niby to tak od niechcenia kupują grunta, ale za to tem silniej je w ręku trzymają i coraz liczniej ściągają się do nas; Moskale zaś gwałtem, przemocą rabują i odbierają grunta. Głupcy niektórzy opowiadają, że oni odbierają grunta panom, a rozdają chłopom. Niechno się który dobrze przypatrzy tej gospodarce moskiewskiej, tam na miejscu. Zobaczy, że powypędzali wszystkich chłopów z całych wiosek i wysłali ich w Sybir, a na ich miejsce sprowadzili kacapów.

— Oto mi dopiero chytry naród ci Moskale, powiada Walenty, a jak oni się to przed nami składają, niby jak

baranki niewinne, powiadają, że to dla chłopów obdzierają panów. Teraz i ja się przekonałem niedawno, że te wszystkie obiecanki, to tylko dla oszukaństwa i zdrady. Bo to wiecie, że przed dwoma laty sprzedał grunt swój Wojciech Kawka i poszedł tam pod Moskala, jak go namówili. Widać, że źle wyszedł na tej spekulacyi, bo niedawno widziałem go na jarmarku w podartych butach i połatanej płóciennicy, wyglądał, jakby go kto z trumny wyjął. Powiadał mi, że Moskal tylko lutrom lub kacapom sprzedaje grunta, a katolikom wara.

— Tak jest istotnie, mój Walenty, tylko że tu nad granicą, to jeszcze łagodniej postępuje, ale tam dalej i głębiej w kraju, okropne dzieją się rzeczy,

— Mnie się zdaje, powiada Sobek Gajda, że Niemcy nie wiele lepsi, bo to coście nam kiedyś czytali, to także nie bardzo świadczy za nimi. Możebyście nam dzisiaj coś dalej opowiedzieli, co się to z tymi narodami stało. I tak są tu ci sami prawie, co byli poprzednio.

– Zgoda, odpowiedział Marcin, książkę mam w pogotowiu.

Okrutny Henryk Ptasznik umarł, (r. 936) — następca jego Otto, zajęty był sprawami na przeciwnym końcu Niemiec. Świeżo ustanowiony margrabia wschodni Gero, czychał na ostateczne podbicie owych ludów. Przekonały się przecież owe narody, iż cząstkowe ich usiłowania były nieudolne, i postanowiły teraz działać według powszechnego porozumienia. Najprzód wystąpili Obotryci, wymordowali wojsko niemieckie. Wszelako Gero wyprawił sutą ucztę, na którą trzydziestu książąt pogańskich zprosił. Pod koniec nczty, kiedy goście upojeni winem, ręką już władać nie mogli, wypada zasadzka niemiecka i wszystkich w pień wycina. Jeden tylko młody książe Heweldów czyli Stoderanów, uszedł szczęśliwie. Wróciwszy do swoich, podniósł wraz z sąsiednimi Lutykami mściwą broń przeciw Niemcom, podczas gdy w tej samej chwili toż samo u Obotrytów się dzieje. Margrabia Gero nie mógł podołać i samegoż króla Ottona w pomoc przywołać musiał. I ten jednak nic nie mógł wskórać. Knują tedy Niemcy powtórnie zdradę, mnogiemi pieniędzmi i większemi

jeszcze obietnicami przekupują Tugomira, aby im zdradą swój dziedziczny kraj poddał. Niby więc potajemnie z niewoli, przybywa Tugomir do miasta Braniboru i poznany od swego ludu i za pana przyjęty, wkrótce co przyrzekł, dotrzymał Niemcom. Przyzwał bowiem do siebie synowca, który sam jeden z owej morderczej uczty uszedł, i zdradą pojął go i zabił, a miasto z całą krainą niemieckiej poddał zwierzchności. Poczem wszystkie ludy aż po rzekę Odrę podobnym sposobem do danin Niemcy zmusili.

Margrabi Geronowi roiło się o osobnej koronie dla siebie lub dla syna swego Sigfrida, a dla osiągnięcia tego celu były niczem wszelkie mordy, jak ów mord trzydziestu książąt na uczcie. Skoro więc narody te po niedawnej porażce upadły na duchu, rozpuścił margrabia znowu zagony w głąb ich krain i Ukranów zawojował. Niezmierna zdobycz u nich zabrana. Ci przebudzeni tym nowym ciosem ze swego wysilenia, rzucają się jak zwierz zraniony na gnębicieli, i z ślepą zemstą już rok po roku przeciw coraz sroższym zamachom coraz wściekiej się miecą, wyjarzmić się lub do reszty upaść gotowi. Skoro Gero nieco swobodniej im odetchnąć dozwolił, a oraz wiadomość o nastającej wojnie Niemców z Węgrami gruchnęła, wybuchnęli przeciw jednemu ze swoich ciemięzców, margrabiemu Teodorikowi. Walcząc z nim, dali się raz do pewnego bagnami otoczonego miasta przezeń zapędzić. Zamknąwszy się tam w grodzie, poczekali aż Teodorik przez moczary przeprawiać się do nich zacznie. Wtedy widząc Niemcow nieładem przeprawy porozdzielanych i w miejscu, ani do walki ani do ucieczki nieprzydatnem, zawieruszonych, rzucają się z wielkim okrzykiem na nich.... i haniebną zadają im klęskę.

Panujący u Obotrytów bracia Nako i Stojgniew podnoszą bunt, tj. wyganiają załogę niemiecką, wędrownych księży niemieckich, poborców i tak dalej, zamykają się w mieście Światłastrona, gdzie Herman na próżno ich oblęga, mimo iż mnogich i walecznych ma wojowników. Wreszcie musi ustąpić.

Działo się to wszystko w nieobecności Gerona, podczas gdy cesarz Otto stanowcze zwycięztwo nad domowymi nie-

przyjaciołmi i jeszcze większe nad Węgrami u rzeki Lechu (r. 955) odniósł. Zgromadzeni pod bronią: Obotryci, Cyrcypani, Lutycy, Redarowie i Dalemińcy wyprawiają poselstwo do cesarza, i opowiadają, iż będą płacić dań po zwyczaju, ale zresztą chcą w swoich krainach sami się rządzić. Tylko pod tym warunkiem przystają na pokój; jeźli nie, tedy bronią wolności swojej dobijać się będą. Na to odpowiedział cesarz: iż pokoju im nie odmawia, lecz inaczej go nie dozwoli, aż póki popełnionej zniewagi należną czcią i wynagrodą nie naprawią. Poczem kraje ich ogniem i mieczem spustoszył, i stanął z wojskiem obozem nad rzeką Raksą (w Meklemburskiem), gdzie mu sprzymierzeni, ani bić się, ani dalej iść nie dopuszczali, i między gęstym borem a rzeką i bagniskiem wojsko jego zamknęli. Nadto panowały jeszcze głód i mór w wojsku cesarskiem. W tak niebezpiecznem położeniu wysłał cesarz Gerona do naczelnego wodza obotryckiego, księcia Stojgniewa. Geron lubił raczej chytrym czynem niż słowy roztropność okazywać, chytrze rozsiewał od dawna niezgody między wolnemi ludami. Wyprawiony od cesarza do Stojgniewa — pozdrowił go przez rzekę i bagno. Ten począł urągać margrabi i cesarzowi i wojsku całemu, gdyż wiedział, w jakim wszyscy znajdują się kłopocie.... Wrócił więc Gero z niczem do Niemców i sprawił cesarzowi, co słyszał. Tymczasem Gero z zdrajcami Rugianami, ukradkiem trzy mosty na rzece zbudował i gońcem wojsko cesarskie w tę stronę zwołał. Widząc to Obotryci i ich sprzymierzeńcy chcieli zabiedz Niemcom drogę, ale gdy po długim biegu piesze ich roty do boju wystąpiły, nie stało znużonym sił do walki, musiały pierzchnąć przed rycerstwem niemieckiem, i krwawą klęskę poniosły. Stojgniew otoczony jeźdźcami, przypatrywał się z wyniosłego wzgórza kolejom walki. Na widok rozsypki towarzyszy, umknął także z pobojowiska i w jakimś gaju z dwoma wiernymi dostrzeżony, długą walką zmęczony i z broni wyzuty, śmierć poniósł. Tegoż dnia obóz zdobyty. Wiele ludu wycięto lub pojmano. Aż do poźnej nocy rzeź trwała. Nazajutrz głowa książęcia Stojgniewa w obozie na widok wystawiona i siedmset jeńców w około

niej wyrzniętych. Książęcy zaś rajca z wyłupionemi oczyma, z wydartym językiem, żywy pomiędzy trupami pozostawion.

Zdało się to ostateczną zagładą. Wszakże i teraz jeszcze przez trzy lata przeciągnęła się wojna między cesarzem a Redarami i Stoderanami. Aż wreszcie musieli wszyscy upokorzyć się. Za każdym razem zabory niemieckie o krok głębiej się posuwały. Taki krok uczynił główny teraźniejszy wróg margrabia Gero. A postąpił on sobie przy tem z zwykłą chytrością, używając pomocy zdrady Wichmana. Wichman chętne przyjęcie znalazł, i rozpoczęły ludy owe między sobą uporczywą wojnę, a mianowicie z dalej mieszkającymi braćmi, i pod wodzą Wichmana porazili dwa razy króla Mieszka. Jednocześnie uderzył margrabia Gero z drugiej strony na tenże głębszy zakątek, i pogromił Luzyków i krainę Selpuli, a nareszcie samego Mieszka.

Dopieroż to dotarcie Niemców do samych granic Polski, ten podwójny przez Gerona i Wichmana wymierzony zamach przeciw Mieszkowi polskiemu, jest ostatecznym kresem ówczesnych zdobywczych wojen niemieckich. O Polskę, która pod tem uderzeniem jak iskra od uderzenia stali o krzemień do życia wzgore, szczerbi się zaborczy oręż niemiecki.

W ostatniej wojnie margrabiego Gerona z polskim książęciem Mieczysławem, poległ syn margrabi Sigfried, dla którego to właśnie ojciec tyle krwi przelał. Śmierć walecznego syna, mającego kiedyś koronę w podbitej krainie piastować, a dziś przez zaczepionych po raz pierwszy Polaków zabitego, zadała też ojcu cios śmiertny. Starzec z zasmuconą duszą ustępuje z pobojowiska i pielgrzemuje do Rzymu, gdzie składa zbroję zwycięzką i z całem swojem mieniem do Boga się ucieka. A powróciwszy do ojczyzny, buduje grób dla siebie i syna swego.

I jego pomocnika Wichmana mściwa dosięga kara. Wezwany przez xięcia Zelibora przeciw obotryckiemu Mściwojowi, rozniecił Wichman nową wojnę domową, a pobity, uciekł do ludów nadbałtyckich, Wilinów. Tam znowuż głównie w myśli mu było, jakby Mieszkowi polskiemu wojną mógł

szkodzić. Jakoż wyprowadził Wilinow (r. 969) w pole przeciwko niemu, ale z przodu i z tyłu od Polaków osaczony, począł o ucieczce przemyśliwać. Natenczas towarzysze jego zaczęli lżyć go, że ich do boju poduszczył, a teraz z pola umyka. Musiał więc Wichman zsiąść z konia, i wraz z resztą pieszych do boju stanąwszy, przez cały dzień odważnie się potykał. A przez noc uciekając, zaszedł nad ranem drogą i głodem unużony, z kilką towarzyszami do jakieś zagrody. Dopadło go tam przedniejsze rycerstwo polskie i poznało po zbroi, ile że był wysoki. Zapytano go więc, kto jest. Odpowie że Wichman; lecz na żądanie złożenia broni nie chciał się poddać, oświadczając, iż tylko w ręce samegoż księcią Mieczysława broń złoży. Zaczem rycerze do księcia Mieczysława z tem odeszli. Tymczasem jednak niezliczona zgraja pospólstwa otoczyła zagrodę i natarła na niego. Po krwawej walce wziął nareszcie ranny Wichman swój oręż i oddał go możniejszemu z nieprzyjaciół, mówiąc: Weź ten miecz i odnieś go twemu panu, niech go przyjmie na znak zwycięstwa i odeśle swemu przyjacielowi cesarzowi. . . Co rzekłszy obrócił się ku wschodowi, i ostatnie siły zebrawszy, po niemiecku do Boga się pomodlił, i duszę grzeszną wyzionął.

Roku trzeciego (r. 965) wyprawił Mieczysław poselstwo po córkę czeskiego książęcia Bolesława, Dąbrówkę, żądając jej w małżeństwo. Książęta czescy byli już od stu lat chrześcijanami, i kilkakrotnie przez królów niemieckich w własnej stolicy podbijani, znajdowali się w tym właśnie stanie niewolnym, którego nasz Mieszko chciał uniknąć.

Wdziała Dąbrówka czepiec małżeński, żądając nawzajem, aby on swoich siedm żon pogańskich, jakie książęta według bałwochwalczego obyczaju miewali, niezwłocznie od siebie oddalił. Książę przyzwolił na ten pierwszy warunek chrześcijanki; księżniczka z okazałym dworem świeckich i duchownych dostojników do Polski weszła, i nie pierwej do łoża małżeńskiego się skłoniła, aż małżonek obyczajowi chrześcijańskiemu i obrzędom stanu duchownego pilnie się przypatrzywszy, pogańskich błędów się wyrzekł. Gorliwie ważyła Dobrówka w swojej dostojnej głowie i ciągle nad tem

przemyśliwała, jakby małżonka wiarą sobie przyswoić i wszelakim sposobem skruszyć, nie tak dla grzesznej świata tego pożądliwości, jako raczej dla pomyślnego na przyszłość skutku i wielkiej ztąd wszyskim chrześcijanom pociechy. Jednem z najgłówniejszych przykazań ówczesnego chrześcijaństwa, pojmowanego zupełnie powierzchrwnie, nie mogącego wykorzenić pogańskiego zwyczaju kupczenia jeńcami wojennymi, było przykazanie zachowywania postów. Owoż i Dąbrówka zachowywała bardzo sumiennie posty. Atoli ten obyczaj chrześcijański, przestrzegany przez bawiących pomiędzy pogańskimi ludami chrześcijan, mieszał nieraz towarzyską wesołość, gdy oni przy swoich godach obecnego chrześciańskiego gościa surowym obowiązkiem postu od podzielania powszechnej uciechy wykluczonym widzieć musieli. Wystawmyż sobie przy jednej z takich częstych zapewne na dworze gnieźnieńskim biesiad niechęć Mieszka na widok poszczącej żony i usiłowania jego gościnności ku nakłonieniu Dąbrówki do spółudziału w godach. W takiejto chwili — postanowiła ona do czasu uczynić źle, aby tem dłużej czynić mogła dobrze. Bo gdy w pierwszym wielkim poście, który po jej zaślubieniu z Mieszkiem nastąpił, wstrzemięźliwością od mięsiw i katuszą ciała przyjemną Bogu ofiarę ze siebie oddać chciała, małżonek jej błagał ją słodkiem przyrzeczeniem, aby od tego zamiaru odstąpiła. Ona zaś usłuchała prośby na ten raz, aby na przyszł ść sama tem łatwiej od niego wysłuchaną być mogła. Niektórzy powiadają, że Dąbrówka tylko w ciągu jednego postu z mięsem jadała, inni zaś mówią, że we trzech. Wymogła tedy na mężu słodkie przyrzeczenie wzajemnego kiedyś zadośćuczynienia jej woli, napominała go tak często do przyjęcia wiary Chrystusa, aż on chrztem św. pierworodny grzech z siebie obmył (r. 966). A za głową i ukochanym swym panem, poszły też i członki narodu, i weselną szatą odziane, w poczet reszty zwolenników zbawcy wstąpiły. Jordan, pierwszy ich biskup, wielce się z niemi napocił, zanim ich gorliwem słowem i czynem do wiary chrześcijanskiej przywiódł. Wraz z tem przyjęciem nowej religii nastąpiło powszechne zburzenie dawnych świątyń i bożków.

W miejscu ich obalonych świątyń stanęły chrześcijańskie kościoły, a głową nowego duchowieństwa ustanowiono owego Jordana, mianując go biskupem poznańskim. Gdy Dąbrówka, powiwszy mężowi dwóch synów, Bolesława i Włodoweja, po jedenastoletniem małżeństwie umarła, książę polski upodobał sobie mniszkę w klasztorze Kalwe i ożenił się z nią.

Poswatawszy się z książęty czeskimi, wydaje Mieszko swoję siostrę, ową Biełokniginię, czyli Adelaidę, za węgierskięgo książęcia Gejzę, również osobliwszego człowieka. Był on jak i Mieczysław nowo ochrzczony, i zarazem panu Bogu wszechmogącemu, jakoteż różnym bałwanom ofiary czynił A gdy go biskup o to zagadnął — „Jestem dość bogatym i możnym — odpowie Gejza — aby jednemu i drugiemu Bogu zadość uczynić.“ Córkę zaś niewiadomego imienia, ożenił Mieczysław z duńskim królem Swenonem i miał z niej wnukiem jednego z najmędrszych i najpotężniejszych monarchów owego czasu, duńskiego i angielskiego króla Kanuta wielkiego. Spowinowacone tak kraje wchodziły w wielorakie z Polską stosunki. Zaczepiony przez Gerona, wolał Mieczysław przyznać się do uległości względem królów niemieckich, niż na ciągłe niebezpieczeństwo ich najazdów być narażonym. Jako nowy chrześcijanin wstąpił on w poczet książąt europejskich.

Jak się Polska broniła od tych rozbójniczych napadów, o tem usłyszycie innym razem, kiedy się znów zejdziemy, powiedział Marcin i zamknął książkę. (Dok. nast.)

Zawiślak.

(Ciąg dalszy).

Tak, to prawda, — powiada Podrywka — jest z czego i za co — bo człek i pracuje i rolę ma ładną. Ot pan wójtowa, nie ma to jak zasobny gospodarz na wsi! Jest z czego i pohulać i napić się i zabawić. Nie prawda Marysiu — mówił zwracając oczy na wójtównę, — nieprawdaż, żebyś i ty chciała wnet zostać gospodynią na własnym grun-

cie. Oj! wiem ja wiem, że ci się nie jeden podoba parobczak, ale cię matusia trzyma ostro i żałuje jedynaczki. Wiesz Marysiu, mam ci coś powiedzieć do ucha.

— Dajcie pokój, panie podwójci — mnie u rodziców tak dobrze, tak miło, że i w raju nie miałabym lepiej. Ja się też z niczem przed matusią nie kryję, a jak chcecie mi coś powiedzieć, możecie mówić głośno.

— To nie uchodzi — bo o tem, co powiem, sama naprzód wiedzieć powinnaś.

— Musi to być coś niedobrego, kiedy się z tem kryjecie przed matusią moją.

— Ale gdzie tam, broń Boże — chciałbym tylko, aby ci naprzód powiedzieć miłą nowinę — potem powiem i ojcu i matce, i całej gromadzie.

Marysia zarumieniła się, spuściła oczęta ku ziemi, ale kiedy się Podrywka zbliżał, aby jej szepnąć ową nowinkę do ucha, odepchnęła rękę — podniosła znów oczy do góry i udała, jakby się nie domyślała niczego.

— Co mi tam bajecie, panie podwójci — ja nie chcę od was żadnych nowin, powiedziała z przekąsem.

Po tych słowach zamyśliła się mocno i posmutniała. Matka nie wtrącała się do tej całej sprawy — wiedziała, że tu o Szymka chodzi, a co do tego trzymała się słów męża.

— Ładny to i pracowity chłopiec, ten wasz Szymek; ma grunt kmiecy, chatę porządną i pieniądze po nieboszczyku ojcu, mówił Podrywka do wójtowej. Jakaby to była para, gdybyście mu chcieli oddać Marysię. Nie brakło by im niczego, chyba ptasiego mleka.

— Na gościńcu nie będziemy przecież odprawiać swatów — przyjdźcie jak się należy w inny dzień do domu — to o tem pomówimy — odezwała się wójtowa.

— A widzisz — nie mówiłem ci — na boku mówił Podrywka do Szymka — Marysia będzie twoją — zobaczysz będzie twoją — zaczekaj tylko do niedzieli — pójdziemy w swaty.

Wieczorem wójt z żoną swoją długi czas rozprawiał coś osobno. Oboje postanowili wydać Marysię za Szymka,

jeśli się tylko poprawi i zaprzestanie bywać i przyjaźnić się z Podrywką. Chcieli zaś tem bardziej przyspieszyć dzień zaślubin, gdyż Marysia na prawdę coraz więcej zajmowała się rannym. Siedziała wieczorami w jego izdebce, podawała mu lekarstwa, przygotowywała szarpie i sama gotowała dla niego jadło i sama chodziła do miasta, do apteki. W pierwszych tygodniach pozwalał na to wójt — później, kiedy ranny odzyskał przytomność i zdrowie wracać mu poczęło — albo sam z Marysią przesiadywał wieczorami w jego izdebce, albo robiła to jego żona. Widzieli oboje, z jakiem zajęciem z jakiem zachwytem słuchała Marysia opowiadań młodego, powstańca. Z początku sądzili, że to tylko ciekawość niewieścia i litość nad nieszczęśliwym. Marysia bowiem miała serce miękkie, litościwe i czułe. Później obawiali się, aby litość ta nie zamieniła się w miłość dla panicza, jak go nazywali, i odtąd strzegli Marysię, bo i cóżby jej mogło przyjść z takiego kochania — nieszczęście tylko i nic więcej. Marysia nie wiedziała z początku, co to znaczy, że jej tak tęskno, smutno i niemiło, kiedy nie widzi tego, którego odszukała na kępie. Nie umiała nazwać tego nowego uczucia, jakie się w jej piersi obudziło. Zdawało się jej, że go kocha jak brata, jak matkę lub ojca. Dopiero po ostatniej owej rozmowie Podrywki posmutniała, zrobiło się ciężko i przykro w sercu, jakby jej czegoś brakowało. Niespokojnie oczekiwała niedzieli i swatów Szymkowych.

Ranny tymczasem ani jednem słówkiem nie wspomniał Marysi o miłości, ani razu nie dał jej poznać, że ją kocha. Tymczasem tak było w istocie. Marysia była ładną i dobrą dziewczyną. Jej troskliwość, łagodność, szlachetność we wszystkich uczynkach naprzód zachwyciły rannego, następnie zupełnie skłoniły jego serce ku niej. Był wszakże za nadto uczciwym, nadto cnotliwym, aby nadużyć gościnności i bałamucić dziewczynę. Józef — tak mu było na imię — był synem ubogich rodziców, z miasteczka w Królestwie polskiem. W Lublinie chodził do szkół i wraz z innemi wyszedł walczyć za wiarę do powstania. Sprawie, której się poświęcił, chciał służyć aż do ostatniego tchu życia. Toż gdy pomału wra-

cały siły i zdrowie, myślał tylko o tem, aby jak najprędzej wyruszyć na wojnę z Moskalem. I opawiadał często Marysi, że wyjedzie wkrótce i cieszył się, że niedługo już wyzdrowieje.

Ale Marysia nie rada słuchała podobnej rozmowy. Spuszczała oczęta ku ziemi, smutniała, zamyślała się głęboko, i rozmowa nie szła jej widocznie, czasem jakieś słówko powiedziała, ni to ni owo, — widać, że myśli jej były gdzieindziej. Zauważał to wkrótce i ranny. Wiedział od razu, że Marysia się w nim zakochała i to go tem bardziej zaniepokoiło. I on bowiem od pierwszego już poznania szczerze ją polubił, a gdy codziennie przypatrywał się jej pracowitości, dobroci, serdeczności, gdy widział, jak jej wszystko i składnie i zgrabnie, i tak jakoś bez przymusu się wiedzie, tak się do niej przywiązał jak do matki, a nawet jeszcze więcej. I on również od dawna pokochał Marysię, ale jako człowiek i szlachetny i uczciwy, widział, iż z miłości tej nie byłoby szczęścia. Obowiązki powoływały go gdzieindziej, a obowiązki te przyzwyczaił się wypełniać święcie i stale. Był przytem biednym, nieszczęśliwym, w kraju nieznanym choć polskim, ale pod innem panowaniem. Mogli go w każdej chwili wydać, zdradzić i porwać do więzienia. Na cóż dziewczynę niewinnie narażać na strapienie i smutek — pomyślał nieraz w duchu. Jakażby to była wdzięczność, gdybym poczciwemu Zawiślakowi córkę bałamucił? Postanowił zatem stłumić uczucie w sercu, wyjechać gdzieś jak najprzędzej — może Marysia zapomni o nim i będzie szczęśliwą z innym. Sam nie zdradził nigdy ni słówkiem, że ją kocha.

Wieczorem w niedzielę siedzieli oboje w izdebce, on czytał coś z książki, Marysia słuchała. Wreszcie, kiedy skończył jakąś smutnę historyę — położył książkę i poczęli jak zwykle rozmawiać. Nareszcie zeszli na pogadankę o odjeździe Marysia była smutna zarumieniona i bardzo niespokojna.

— Czas — już powiada ranny — porzucić waszą chatę, gdzie doznałem tyle dobrodziejstw, gdzie mnie przyjęto i pielęgnowano jak własnego syna. Nigdy się nie spodziewałem że znajdę tu tyle szlachetności, gościnności i dobrego serca.

Mogę już nieco chodzić — a wkrótce i na konia wsiąść potrafię. Za kilka dni nie będę ci już czytał z tej książki.

— A zawsze ten odjazd, zawsze ta podróż panu na myśli. I czy wam tu źle, czy wam czego brakuje? — przerwała Marysia.

— Toż właśnie dla tego odjeżdżam, że mi nic nie braknie.

— A dziwny z was widzę człowiek — odjeżdża dla tego, że mu na niczem nie zbywa, odjeżdża dla tego, że go wszyscy kochają i szanują. Ale czy wam tu tak niemiło, czy nikogo żałować nie będziecie paniczu?

— Marysiu — nie mów tak, bo to mnie bardzo boli — odjeżdżam, bo muszę odjechać.

— A zawsze swoje muszę i muszę — a tu nikt nie musi. Toć ani ojciec, ani matka, ani ja nie chcemy, abyście od nas uciekali, bo tam strasznie źle na świecie, wszędzie pełno wartowników i zdrajców, gotowi was schwytać i do aresztu zamknąć, albo oddać Moskalom, a jabym bardzo żałowała i płakała, gdyby się tak stało.

— Ale broń Boże — nic się mi nie stanie — powrócę tu jeszcze, zobaczymy się — tylko się wojna skończy.

— Powrócę, powrócę, tak to się mówi ładnie, ale ja nie wierzę — powiada Marysia — o bo wy paniczu nie wiecie, co się w duszy mej dzieje. Ja was polubiłam jak matkę, jak ojca, a może i więcej jeszcze, boście taki dobry, miły a nieszczęśliwy; kiedy chcecie odjeżdżać, to mnie się wydaje, jakby mi kto nożem serce krajał. O wy paniczu nie wiecie i nie pojmujecie tego, co mi się dzieje — wam się tam jakaś pani spodobała i tak do niej spieszycie.

— Marysiu — przestań — bój się Boga przestań narzekać i płakać powiadał ranny, chwycił ją za ręce i począł całować — przysięgam ci, że nikogo bardziej nad ciebie w życiu nie kochałem i nie kocham, ale to właśnie ta miłość — bo ci prawdę teraz muszę wyjawić, ta miłość przymusze mnie, abym odjechał. Rozważ Marysiu, czy możemy się pobrać? Ja biedny bez chaty i bez gruntu, a ty bogata

dziedziczka. I cóż bym mógł powiedzieć ojcu? Tobym się tak wywdzięczył za jego poczciwość?

Długo jeszcze rozprawiał i tłumaczył Marysi, że to nie może być, aby dłuzej pozostawał, że nie może nadużywać gościnności ojca. Zapewnił ją, że nigdy nie zapomni o niej, że ją kocha nad życie i dla tego opuścić musi, że Marysia może jeszcze zapomnieć i być szczęśliwą.

— Tak to się wam wydaje, boście tam w mieście takie panie widzieli, co to dzisiaj tego a jutro nowego kocha, ale dla mnie już nie ma nic na świecie, kiedy wy jedziecie od nas.

(Dokończeni nastąpi).

Szkoła wiejska.

Na końcu naszej wioski stała się nowina,
Starzy nie wiedzą: płakać czy śmiać się należy?
Pobudowano chatę, jeszcze bez komina,
Jeszcze bierwion sosnowych nie pokrył tynk świeży,
Jeszcze okna nie wbite złożono pod ścianą,
A już wniesiono ławki, coś na kształt kościoła.
Jak świat światem tych dziwów u nas nie słyszano.
Tu będzie szkoła!..
A może to i dobra, może zła nowina:
Każą chłopców posyłać do tego tam czarta,
Kazał pan, kazał pleban, kazał pan starszyna,
To niech sobie i chodzą — rzecz kłótni nie warta.
Sprowadzili jakiegoś jegomości z miasta,
Broda mu jak miotełka żółtawa wyrasta,
Chodzi w krótkim kożuchu, kapeluszu dużym —
Pali krótkie papierki, jak my lulkę kurzym.
Pan?.. nie pan, bo nie hardy; chłop?.. nie chłop, bo czyta,
Nie ekonom, bo dziewcząt w objęcia nie chwyta.
Pójdzie czasem do księdza, a czasem do dwora,
A z ludźmi by gawędził z rana do wieczora.
Najął chatę u chłopa, je co Pan Bóg zdarzy
I spędza do roboty mularzy i szklarzy,
Sam pomaga w robocie, choć mało co zna się,
Chce szkołę w jak najprędszym pobudować czasie.
Pobudowano szkołę — ksiądz w komżę ubrany
Przyszedł do niej z kropidłem, poświęcił jej ściany.
Pospędzano chłopców, z nimi starsi przyszli,

I ksiądz mowę powiedział bardzo pięknej myśli:
O jutrzni, która kiedyś nad ziemią zaświeci,
O świętym Kalasantym, co sam uczył dzieci.
Dobrze nie zrozumiała wszystkiego gromada,
A baby to aż płaczą, że tak pięknie gada,
Lecz samo zakończenie już spamiętać łatwo:
„Przyjdź duchu przenajświętszy!“ A ty ucz się dziatwo.
Ot i szkoła . aż dziwo!... czysto, jak w miasteczku.
Na ganku spory dzwonek przybili na ćwieczku,
Dzieciom rozdali książki, papiery, tablice,
Patrzym co z tego będzie. Matko miłosierna!
A co z miasta przyjechał ten jegomość nowy,
Dzieciom przykazał myć się i poczesać głowy.

Wraca pacholę wiejskie ze szkoły,
Musiał się uczyć, bo jest wesoły,
I tak sam sobie pod nosem plecie:
Mówił ksiądz pleban, chłopskieś ty dziecię,
Chłopskie wy dzieci, ale przez księgę,
Rozwielmożnicie waszą potęgę.
Jeśli to prawda, mocny mój Boże!
To ja do książki tak się przyłożę,
I w dzień i w nocy, wieczór i rano,
Aż wszystko poznam, co napisano,
I wyrozumiem dwa a dwa cztery,
I będę pisał jak sztych litery
Lecz czemże będę na bożym świecie?
Pozostać chłopem, — nie można przecie.
Tego nie warto... Ot na zamianę,
Ja ekonomem sobie zostanę,
Będę bił ludzi... brzydko bić ludzi!
Będę za bracią znał ich kochaną,
Jak w katechizmie wydrukowano,
Będę miał dla nich i miód i piwo,
Jak to śpiewają w pieśniach na żniwo.
Zapuszczę wąsy, jak miotły duże,
Sprawię czapeczkę z kutasem w górze,
I kupię brykę i wezmę żonę,
Co nosić będzie suknie czerwone,
Bogaty czepiec z białych koronek,
I łajać męża przez cały dzionek,
Pan łaje sobie, a żona sobie,
Trudno przenosić jednej osobie.
Nie, ekonomstwo dla mnie nie w porę,

Inne rzemiosło sobie obiorę.
Będę malarzem, jak ten pan Jerzy,
Co do kościoła robił żołnierzy,
Tacy wąsacze! przy Pańskim grobie,
Stoją z mieczami i drzemią sobie.
Lecz mieli serca nielitościwe;
Pana Jeznsa męczyli srodze,
Malarz im za to dał nogi krzywe,
I stoją teraz na jednej nodze.
Nakupię pędzli i farb niemało:
Czerwoną, zółtą, błękitną, białą,
I odmaluję wioseczkę naszą,
Z chatami, z groblą, z rzeczką i paszą,
I będzie brzmiała z mojego płótna,
Starej żebraczki piosenka smutna;
Szczekają kundle, kłócą się baby,
I stęka idąc dziadulko słaby,
A nad tem wszystkiem obłok poranny,
I widać postać najświętszej Panny;
Jak błogosławi te nasze ściany,
I nasz kościółek stary, drewniany,
I naszą szkółkę, i nasze żyto,
I naszą łąkę kwiatami krytą,
I błogosławi każdego człeka,
Czy który z bliska, czy też z daleka.
Oj, tam z za góry ledwie widzianej,
Z chorągiewkami jadą hułany,
Boże mój, Boże! co za koniska
Każdemu z nozdrzy ogień wypryska,
Sam będę zuchem, rada nie służy,
Już ja malarzem nie będę dłużej.
Jak tylko obraz namalowany,
Siadam na konia i marsz w hułany,
Gdy z krzyżem wrócę ku swojej strzesze,
Toż to rodzicom radość przyniesie.
A jak się czasem w mustrze pomylę,
Albo mi szablą zgruchocą ramię,
Albo mi kula głowę odłamie.
Albo, co gorsza, nie dopuść Boże!
Na bojowisku strach mię przemoże,
I zemknę z placu gdzieś między jodły,
A ludzie krzykną: „Podłyż ty, podły!“
Toż dla rodziców z piasku przykrycie,

A dla mnie hańba na całe życie.
Nie, choć w hułanach dobrze się zdawa,
A piękny mundur i głośna sława,
Ale tymczasem to blask zwodniczy,
Jeśli sam siebie kto nie obliczy,
Gdzież mi obliczać? nie z moim wiekiem,
A mnie tak pilno zostać człowiekiem.
Człowiekiem trudno. . trudno hułanem,
A więc. . cóż robić? zostanę panem.
Najprzód sprowadzę gromadę chłopią,
Niech mi na pałac gliny nakopią,
Za to odpiszę wszystkie szarwarki,
I dam każdemu wódki dwie miarki.
Potem przyjedzie architekt biegły,
Każe nazwozić czerwonej cegły
I pobuduje pałac wysoki,
Co będzie wieżą straszył obłoki,
Jako straszydło, co na wsi chłopi
Straszą w ogrodach wróble z konopi.
Będę miał sługi, będą pieniądze,
Będą i konie, będą powozy,
I lulka długa, jak gałąź brzozy.
I będę gadał po europsku,
Ani po polsku, ani po chłopsku.
Będę pił wino, co strzela korkiem,
Jadł marcypany z kwaśnem ogórkiem.
A jak mi matka w starej siermiędze,
Przyjdzie załośnie płakać na nędzę,
Albo brat młodszy wejdzie mi w drogę:
„Daj mi paneczku, daj zapomogę!“
Mnie zarumienią ich smutne twarze,
To z mego dworu wypchnąć ich każę.
Och! co ja bluźnię, Jezusie Chryste!
Oddal odemnie myśli nieczyste!
Matko i bracie! Dziwne narowy
Myśl nieczłowiecza przyszła do głowy.
Grzesznik przed wami na klęczki pada,
Niech mię ksiądz pleban jutro spowiada,
Jam grzech mój ciężki, pogardę wami,
Gotów opłakać krwawemi łzami.
Niech rowiennicy, a swawolnicy,
Błotem obrzucą mnie na ulicy.
Toć to nakupię elementarzy,

Tu mnie uściskiem pleban obdarzy,
A nie otarłszy łzy jeszcze z powiek,
Rzecze: Mój mały, widać, żeś człowiek!
Idź uczłowieczać rodzinną wioskę,
Idź gładko orać skibę ojcowską,
Idź z ciężkim rydlem, choć mędrzec taki,
Ze starą matką sadzić buraki,
A wśród buraków rzuć jej nieznacznie
Nasienie słońca*, co rodzić zacznie.
Ja cię przeżegnam, niech Bóg wysłucha,
Idź w imię Ojca, Syna i Ducha.
Otóż polecę, toż będą radzi,
Nasienie słońca proboszcz sprowadzi,
Ja siać je będę na naszej niwie.
Pan Bóg pomoże, wzrośnie szczęśliwie.
Nie zbędzie deszczu, nie zbędzie rosy,
Wyrosną kłosy aż pod niebiosy,
A Pan Bóg niwę tutejszej włości,
Nakarmi chlebem aż do sytości.
Mnie to zawdzięczy cała gromadka.
Spłacze się ojciec, spłacze się matka,
Taka łza w serce perłą powraca,
Toż moja książka, toż moja praca.
Chciało mnie zrobić natchnienie wieszcze
Panem, hułanem i czemś tam jeszcze,
Ja choć bić będę głową o ścianę,
Chłopem zostanę!

* Pod nasieniem słońca rozumie tutaj poeta naukę, bo ta duszy, podobnie jak słońce roślinom, daje życie prawdziwe. *W. S.*

Kalwarya Zebrzydowska i Lanckorona.

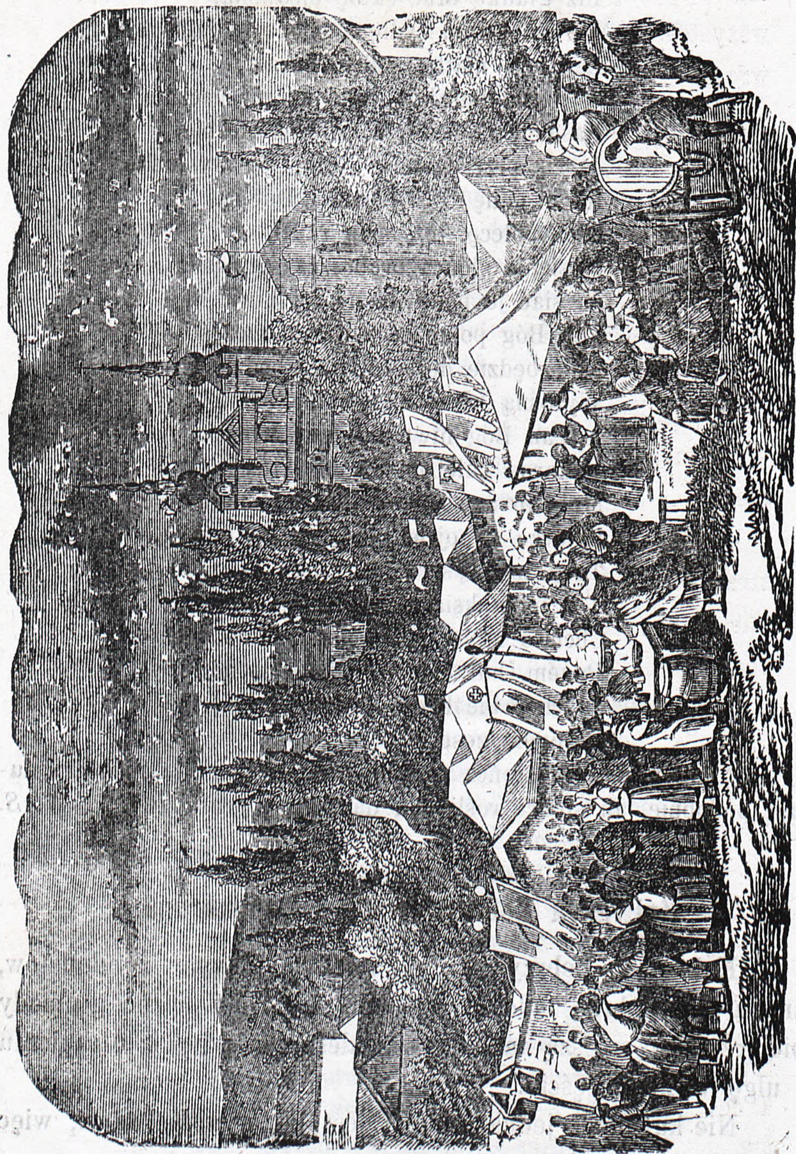
Kalwarya Zebrzydowska, miejsce sławne z odpustów, znana jest dobrze ludowi naszemu. Co roku liczne gromady pielgrzymów spieszą tam, aby znaleść pociechę w utrapieniu i ulgę w nieszczęściu.

Nie każdemu jednak znana jest historya Kalwaryi, więc pokrótce ją opowiemy.

Już blisko trzysta lat dobiega, jak na tronie polskim zasiadał Zygmunt trzeci. Był to król niedołężny a dumny i chciwy zaszczytów i chwały. Źle było w Polsce za jego pa-

nowania; wewnątrz nie było ładu i porządku, a nieszczęśliwe wojny niszczyły urodzajny kraj nasz ojczysty.

Pomiędzy szlachtą polską rej wodził potężny wojewoda i starosta krakowski, Mikołaj Zebrzydowski. Sławne było



imię jego po wszech ziemiach ojczyzny, bo on to, pokłóciwszy się z królem, podniósł rokosz i zapalił w ojczyźnie pochodnię wojny domowej. Wojna ta skończyła się zwycięstwem

króla, a Zebrzydowski musiał się ukorzyć i ustąpić królowi liczne swoje zamki i włości. Był on także panem Lanckorony, miejsca sławnego w dziejach naszych.

Lanckorona leży pod samemi Karpatami, na wysokiej górze. Dziś sterczą tylko ruiny wspaniałego zamczyska, który kiedyś zamieszkiwał ów wojewoda krakowski.

Naprzeciw ruin tych, z zieleni lasów, na niewielkim pagórku niegdyś Zarkian zwanym, pokazuje się klasztor, a u stóp jego mieścina.

Wojewoda Mikołaj, chcąc uświetnić pamięć swoją, wysłał dworzanina Hieronima Strzałę do Jerozolimy, aby zwiedził wszystkie pamiątki tego miejsca świętego, gdzie pierwszy kościół katolicki powstał, gdzie każdy krok przypomina chwile z życia Jezusa Chrystusa.

Za powrotem, Strzała podał plan wybudowania przybytku świętego, któryby był we wszystkiem podobny do kościoła Jerozolimskiego. W roku 1603 założono fundamenta pod budowę, a skończono ją dopiero w roku 1617 Papież Paweł piąty, nadał odpusty zwiedzającym to miejsce, którego widok przedstawia obrazek.

Nazwisko „Kalwarya“ nadał lud okoliczny świątyni tej i mieścinie, choć fundator chciał je nazwać „Jerozolimą polską.“ Lud jednak chcąc uczcić także pamięć założyciela, dodał Kalwaryi przydomek „Zebrzydowskiej.“

W świątyni znajduje się wiele obrazów pięknych i starożytnych. Między innemi, obok głównego ołtarza, obraz zawieszony na pamiątkę odwiedzin Kalwaryi przez króla Władysława czwartego, który wracając z wojny tureckiej, odwiedził to miejsce święte i hojne dary złożył kościołowi.

Kalwarya nie wiele nam przypomina chwil świetnych z dawnych czasów. Legenda ludowa tylko wiąże z nią powieść o rycerzu Włodku, herbu Łabędź, który z żoną swoją trudnił się rozbojem, wypadając z zamku swego na tej samej górze stojącego, gdzie potem wybudowano świątynię Pańską. Włodek zginął podczas jakiegoś napadu, a Włodkową król pojmał w niewolę i ściąć kazał.

*

Daleko więcej wspomnień wiąże się z Lanckoroną Za onych czasów, kiedy to Szwedzi kraj nasz pustoszyli, a na tronie siedział niedołężny król Jan Kazimierz — Lanckorona była bardzo ważnem miejscem. Jenerał Szwedów, Duglas, zajął zamek po krótkiej walce i ztamtąd zaczął szerzyć mordy i pożogę na całą okolicę. Cały rok trwały rabunki i mordy, aż ocknął się naród polski z zapomnienia i utworzywszy związek, zwany konfederacyą, wypędził wrogów z kraju.

W sto lat po tych wojnach z Szwedami jeszcze gorzej było w naszej ojczyźnie. Na tronie siedział Stanisław Poniatowski, którego nam na króla dała caryca moskiewska Katarzyna. Wojska tej carycy moskiewskiej zalały kraj cały, a sąsiedzi z innych stron czekali tylko chwili dogodnej, aby Polskę rozedrzeć na części i łupem się podzielić.

W kraju rozbrat i niezgoda, nie dozwalały obrony skutecznej. Wtedy to niewielu szczerze miłujących ojczyznę obywateli, zawiązali konfederacye w mieście Barze i wierząc w sprawiedliwość, i pomoc Bożą wydali wojnę wszystkim wrogom ojczyzny.

W r. 1768 Beniowski, wysłany przez wodzów tej konfederacyi Barskiej, zdobył Lanckoronę. Zamek ten wzmocniono i uzbrojono. Lanckorona stała się ważną twierdzą dla walczących wojsk polskich; dlatego broniono jej wytrwale. Dopiero w cztery lata, gdy w r. 1772. austryckie wojska pod dowództwem jenerała Haddika wkroczyły w kraj polski, Lanckorona poddać się musiała.

Z obronnego niegdyś zamku, pozostały dziś tylko szczątki. Drogie nam te ruiny, bo przypominają nam dzieje przeszłe. Były one świadkiem walki przodków naszych z wrogami, sterczą dziś jako pomniki zgasłej przeszłości, przywołjując wspomnienia świetnych czynów ojców naszych.

Sznyps, pisarz gminny

Zdarzenie prawdziwe

opowiedział Ta. Cza.

Jak ja wam co powiem — to tak, jakby ksiądz przeczytał z ewangelji w kościele, wszystko rychtyk prawda, a nie ma nic oszukaństwa. Ja człowiek bywały po świecie, i tu i tam,

i tędy i owędy, a wszędzie mówią: Sznyps, to mądra głowa — wielki rozum; i wy mi nie wierzycie, myślecie, że was chcę w pole wyprowadzić? O ciemny narodzie! ja gdybym chciał, mógłbym was drzeć ze skóry, ale co mi potem, ja mam zawsze swój grosz, od mojej siostry obywatelki, co jest taką panią, jak ta wasza we dworze — ja nie chłopski syn, nie!

Tak to w karczmie za stołem, zastawionym kwartami i kuflami, długo a zamaszyście gadał pan Sznyps, pisarz gminny, na oko wielka figura, ale właściwe: nic. Pana Sznypsa musieliście gdzieś już widzieć, bo ich więcej na świecie. Przypatrzcie się tylko jak wygląda.

Mała główka, a ociśnięta w szerokę obróżkę, jakiś worek, co to ni wieśniacza koszula, ni żadna kapota, wąskie rękawy, a ręce wyglądają z nich długie i kościste, chude nogi a na nich buty, których kroju żaden szewc nie dójdzie Sznyps wszędzie wściubi swoją główkę ubraną w kawałek niby to dawnej wojskowej czapeczki — a śmieszna to główka! Oczka małe, świdrowate, nos czerwony, usta wielkie jak wrota, zęby jak u psa — do tego niby zarost jakiś — otóż i cała figura.

Pan Sznyps od półtora roku gości już w łanowieckiej gromadzie. Zkąd przyszedł, nie wiadomo; szedł gościńcem, wstąpił do karczmy, poszwargotał coś żydem po niemiecku, na drugi dzień wstąpił do wójta, pokazał mu jakieś papiery — a trzeciego dnia wziął na siebie obowiązek gminnego pisarza, którego kancelarya w karczmie się znajdowała.

Trzy miesiące było w gromadzie spokojnie — bez procesów, bez zatargów, pana Sznypsa szanowano, pomimo tego, że tam w karczmie przy kuflu za długo coś przesiadywał.

— Może się kiedyś przepije, prawili gospodarze, i dopiero będzie z niego porządny pisarz, bo ma rozum, a szkoda by go było, bo dobry do rady.

I rzeczywiście pan Sznyps umiał się wkraść do łaski gospodarzy, udawał cichego i potulnego, wszystkim, jak to mówią, bębenek podbijał, że każdy był z niego zadowolniony.

Wreszcie pan Sznyps uznał, że czas do robót już nadszedł.

Postanowił więc wybrać sobie jaką tłuściejszą ofiarę.

Ot pan Łacheta, możny gospodarz, idzie ze zwieszoną głową — zobaczył to pan Sznyps przez okno karczemki i nuż wyskoczył za nim.

— Dobry wieczór kumie, rzecze do pana Łachety pisarz, a coście tak markotni, co to was boli. . .

— Ot bieda, panie Sznyps, na stare lata człowiek kawałka chleba zjeść spokojnie nie może. . .

— Miałażby wam stać się jaka krzywda?

— Jeszcze się nie stała . . bo są te djabelskie sądy, ale Bóg widzi, jak się nie chcę prawować, a zwłaszcza.

— Macie proces, poderwał żywo Sznyps, macie proces, ja wam dopomogę, a zobaczycie, jak te rzecy prowadzić umiem. . . Ho! ho! wielu to ja już sprocesował, że bez koszuli poszli od sądu. . .

— Otóż widzicie panie Sznyps, tego się boję.

— Nie — ja was będę bronić — ja poprowadzę sprawę, ja pokażę temu. . . a jakże się właściwie nazywa ten wasz przeciwnik?

— Piotr Mazur, zabrania mi paść na przyległej do mego gruntu łączce, mówiąc, że te dwa morgi, to jego własność, podczas kiedy to jeden morg jego, jeden mój!

— Obydwa będą wasze — jakem Sznyps, ja wam wyprocesuję. — Ale może byśmy wstąpili do karczemki, ot tak na ochotę, po kieliszku, to nie zaszkodzi, a doda kurażu Pociągnął więc pan Sznyps pana Łachetę. Na progu krzyknie pisarz:

— Hej Icek! kwartę gorzałki, a tej mojej, rozumiesz, na początek sprawy pana Łachety z Mazurem.

— Aj waj! podskoczy Icek, będzie proces, aj waj, u nas już tak dawnego nie było procesu — to bardzo doskonal . . Rifki, gibże dem goim a kwarte, co znaczy w naszej mowie: Ryfko, daj tym chamom kwartę — tak to nas żydzi nazywają.

— A! wyborny sznaps, extra fein, mówi pan Sznyps, podchmielony już nieco, wygracie proces panie Łacheto,

i nietylko jemu ten morg weźmiecie, ale i cieląt parę i woły i pług i kożuch, to wszystko pójdzie na sprawę... wszystko...

— Oto! żeby mi tam taki Mazur śmiał w drogę włazić — mnie Łachecie, krzyczał ten, bo mu we łbie szumiało, nie dam się, nie! zagrabię go całego!

Po tej pijatyce odprowadził Sznyps pana Łachetę, który już prosto chodzić nie umiał, do domu, sam zaś przeszedłszy uliczkę, zapukał silnie do chaty gospodarza Mazura...

— Niech będzie pochwalony, zawołał Sznyps,

— A kto tam? ozwał się głos z chaty...

— To ja, Sznyps, dobry przyjaciel...

— A proszę, wejdźcie z Bogiem — rzecze pan Mazur otwierając drzwi chaty — ale co widzę, wy bo jakoś nieprzystojnie wyglądacie, za wiele podobnoś gorzałki użyliście... przychodzicie o tak późnej porze.

— Cyt! sza! mruknie pan Sznyps, weźcie no kapelusz i chodźcie do karczmy, opowiem wam coś bardzo ciekawego. Mazur zamknął chatę — wychodzą.

— Widzicie mnie, mówi Sznyps idąc, że ma pałka trochę gorąca, a wiecie kto temu winien.

— Kto?

— Łacheta, Łacheta, on to mnie spoił, abym przeciw wam jemu proces prowadził, ale ja wasz szczery przyjaciel, ja nie mogę tego zrobić — ja bym wam tylko chciał szczerze służyć...

— Łacheta, hm! a jaki on prędki... chce mnie zaraz procesować... i pisarza sobie najmuje... ale wy mu sprawy nie będziecie prowadzić, panie Sznyps. — Broń Boże, żebym się w świder skręcił... ja wasz przyjaciel...

— No! to wam powierzam całą sprawę, a grubo wam w kieszeń wpadnie — niech tylko wygram...

— Tfu! panie Mazur, to nie ma ani na paznokieć wątpliwości, musi przegrać ten Łacheta, a wy mu wtedy zabierzecie nietylko ten morg, ale i cieląt kilkoro i parę wołów, i pług...

— A niech mnie jasny! tak mądrze mówicie panie Sznyps... Icek! daj no to pół kwarty na początek procesu...

— Aj waj? co to pół kwarty! na taki proces to i garniec zamało... jak wy panie Mazur wygracie, to będziecie panu Sznyps winni — i wy teraz tylko pół kwartę każecie dawać? pfuj!

— Daj kwartę, nic nie żałuję, tylko żebym wygrał...

— Wigracie, kiedy Icek wam mówi, że wygracie, to zupełnie prawda... aj... pan Sznyps, to taki mądry człowiek, win jeszcze nigdy nie przegrał procesu...

— Tylko was proszę panie Mazur, abyście o tem nikomu nie powiadali, że ja wam sprawę prowadzę — bo to ludzkie języki — a potem Łacheta możeby mnie chciał przekupić, a wy wiecie...

— O! nie bójcie się! Ja wam dobrze zapłacę! dam wam pięćdziesiątkę, a oprócz tego na papier, na stęple...

— No! choć to mało, przystaję, bo jestem waszym dobrym przyjacielem — teraz jeszcze kieliszeczek na dobranoc! Szedł zatem kieliszek po kieliszku. Pan Sznyps odprowadził i Mazura, wykrzykującego ciągle: wygram! wygram! ze skóry go obedrę, zabiorę wszystko Łachecie! Nareszcie zaś, gdy i tego dowlókł do chaty — powrócił jeszcze do karczmy i tam z Ickiem konszachtował, zmawiając się z nim razem na zgubę biednych gospodarzy... Zamiast ich pogodzić, on jeszcze oliwy dolewał do ognia.

Stanęła więc między nim a żydem tajemna umowa, że wszystko dziać się będzie w karczmie, że gospodarze od żyda pożyczać będą pieniędzy na proces, gdy im gotówki zabraknie, że Icek będzie ich nawzajem podżegał, a każdemu jak najbardziej Sznypsa zachwalał.. Na drugi dzień Sznyps wziąwszy od obu gospodarzy pieniądze, niby to na stemple i papiery — pojechał do miasta. Wróciwszy zapewniał każdego z osobna o wygranej, mówił o terminie sądowym, a na końcu spoiwszy ich w karczmie, od każdego wyłudził pieniądze.

Tak ciągnęło się przez dwa miesiące. Stateczniejsi gospodarze łanowieccy chcieli waśniących się pogodzić, ale ci podżegani przez Icka i Sznypsa, tych djabłów prawdziwych, ani słyszeć nie chcieli o zgodzie...

Sznyps pokazywał im jakieś papiery, nibyto chodził za nich do sądu, a ustawicznie wyciągał od nich nowe pieniądze, na koszta procesu, to na drogę do urzędu, na papiery a nawet po 25 złr. od każdego na kubana, jak on mówił, dla pana urzędnika.

Łachecie i Mazurowi wkrótce pieniędzy zabrakło, za radą Sznypsa zaczęli zastawiać się i zapożyczać u Icka — w kilka miesięcy nie mieli czem orać w co się odziać i do ust włożyć...

Tu tymczasem terminu sądowego jak nie ma tak nie ma...

Sprzykrzyło się im wreszcie, że pan Sznyps, widząc, że nic nie mają, zaczyna się z nich naśmiewać, sam nie wiedzieć skąd grube ma pieniądze, a końca sprawy nie widzą jeszcze.

Poszli oba do sądu.

W sądzie wypatrzyli się na nich, jak na pomięszanych, przeżegnali się, nie słysząc nic o żadnym procesie...

Wściekłość opanowała procesujących. Opowiedzieli więc całą sprawę, z czego ich pan urzędnik objaśnił, że Sznyps jest oszustem, którego od dawna szukają, że musiał się z Ickiem namówić, aby ich zniszczyć i do takiej nędzy doprowadzić i na końcu, że wyda rozkaz aresztowania tego oszusta, co papiery sądowe podrabiał i jego wspólnika. Pojechał więc razem z nimi do wsi... Wszedł do karczmy, za szynkwasem siedział Icek, trzymając jakiś papier w ręku...

Urzędnik odebrał trzęsącemu się ze strachu żydowi ów papier, który był podrobiony i zawierał rachunek sądowy procesu Łachety z Mazurem... Pan urzędnik był pewnym fałszerstwa Sznypsa, ale jako wspólnika zaaresztował żyda, czekając na przemyślnego ptaszka...

Wkrótce wchodzi śmiało pan Sznyps. — Czapka na bakier, fajczysko w ustach, a cała mina wielce odważna... lecz gdy zobaczył urzędnika, Icka między żandarmami, skręcił się do drzwi — drogę zastąpili mu Łaaheta i Mazur, i oto pan Sznyps, nazywający się także trzema innemi nazwiskami, trzy razy posądzony o rabunek, skazany na dziesięć lat więzienia, fałszerz, oszust, został wzięty pod karabiny, a jako niebezpieczny aresztant, okuty. Znalezioną przy nim

i w jego pomieszkaniu gotówkę rozdzielił pan urzędnik między Łachetę i Mazura, którzy pomimo tego ani połowy swoich pieniędzy nie odebrali.

Tak się skończył szczęśliwym wypadkiem ów pierwszy, a spodziewamy się i ostatni proces w gminie łanowieckiej.

Podżegani przez tych szatanów niebacznie doznali straty, ale wziąwszy się do pracy, mogą w lat kilka wynagrodzić st acony przez pieniactwo dostatek. W gminie nie przyjmują odtąd takich Sznypsów — chociaż w niejednej gromadzie znaleść ich możemy. . .

Bodajby to był taki Sznyps ostatni!

KRAKUS.

Pod Krakowem trzy kurhany,
Niby trzy przedmurza:
Patrzą na kraj ukochany,
Czy nie grozi burza?

Oj, zawyła burza wściekła,
Od wschodu, do wschodu...
I całunem przyoblekła,
Krwawą pierś narodu!

Oj, zawodzą w płacz serdeczny,
Nieszczęśliwe matki:
Do pościółki wiodąc wiecznej,
Ukochane dziatki.

W niebo okrzyk zgrozy bije,
Żałośnie, grobowo:
Czyje ręce pomszczą, czyje,
Krzywdę narodową?

I posłyszał to z ukrycia,
Mąż z ducha i kości,
Co nie szczędził nigdy życia,
Za sprawę wolności,

Co za bisior miał siermięgę,
A burkę za łóżko,
Miłość ludu za potęgę:
A zwał się Kościuszko!

Od okrzyków, od radości,
Znowu drżą niebiosy:
Gromadzą się ludzie prości,
Wyostrzają kosy!

O, niech wróg się nie poważy,
Kusić o zwycięztwo...
Gdzie narodu duch na straży,
Tam siła i męztwo.

Choć niewola — niby ołów
Ciężka, na pierś lęże:
Wstają iskry z pod popiołów —
A z narodu męże!

Zbrojne w kosy i kłonice,
Poszły nasze chwaty,
Poszły, het, pod Racławice
Zdobywać armaty.

I zdobyli — i przywlekli,
Armat jedyneście:
„A wrogowie niby wściekli,
„Pierzchli przez przepaście!

„Hej!—gdy nam tak poszło z chwałą
„Kościuszko zawoła:
„Trzeba przelać jedno działo,
Na dzwon do kościoła!

„Niechaj jego głos spiżowy,
Płynie co dnia z wieży:
„I o chwale narodowej,
„Gada do młodzieży."

Potem rzuci okiem czule,
Na Wawelu mury:
„Tam gdzie nasze leżą króle,
„Stanie moździerz wtóry!

„Gdy na naszą dolę krwawą,
„Padł ucisk tej ziemi:
„Narodową chociaż sławą,
„Podzielmy się z niemi!

„Trzecie działo niechaj stanie
„Na mojej mogile...
„By ostatnie pożegnanie,
„Oddać mi za chwilę!"

Skąd te wodzu myśli czarne,
Skąd ten smutek powiedz:
Czyś ty wieszczym przeczuł duchem,
Klęskę Maciejowic.

Niewiem z jakich przeznaczenie,
Wódz tam czytał znaków;
Czy w snach zoczył tę mogiłę,
Którą wzniósł mu Kraków.

Ale widzę, jak nad Polską,
Duch jego jaśnieje...
Trwogę budząc w piersiach Moskwy
W ofiarach — nadzieję!

Mrówki.

Kiedy się zastanowimy z uwagą nad sposobem życia i zadziwiającą zmyślnością mrówek, przychodzi nam uwielbiać wszechmocność i mądrość Boga, nietylko w stworzeniu ogromnych zwierząt, ale i w stworzeniu najmniejszych istotek.

Mrówki żyją w wielkich towarzystwach, i składają jakby naród, co się rządzi pewnemi prawami: budują one, jak wiecie, sztuczne mieszkania zwane mrowiskami, jużto w ziemi, już też w wypruchniałych drzewach. W mrowisku trojakie znajdujemy mrówki, to jest: *samce*, *samice* i tak zwane *bezpłciowe*, czyli ani samce, ani samice. Te bezpłciowe nie mają nigdy skrzydeł; samce zaś i samice przez krótki czas opatrzone są cienkiemi skrzydełkami, które im wkrótce odpadają. Samice i bezpłciowe mają żądła, albo brodawki, z których się sączy ostra, kwaskowa ciecz, zwana *kwasem mrówczanym*. Samce tego nie mają.

Mrówki u nas znane są dwojakiego koloru: *brunatno-czerwone*, inaczej zwane borowemi, które zazwyczaj po lasach przebywają, i jasno *czerwone*, ktore najwięcej po polach żyją, i są mniejsze o połowę od pierwszych.

Mrówiska zakładane w ziemi składają się z sosnowych igieł, z drobnych drzazg, włokien, odłamków kory, okruszyn

żywicy sosnowej, ziemi i t. p. Budowa ich na pozór tak prosto prowadzona, godną będzie podziwienia, jeżeli się bliżej tym niekształtnym na oko kopcom przypatrzymy. Ujrzymy, jak w nich wszystko ma swój cel; zobaczymy tam tysiączne bramy strzeżone we dnie, a na noc zamykane; liczne sionki prowadzą tam do nierównie liczniejszych, większych i mniejszych komórek, które się mieszczą na wielu piętrach, zbudowanych już to nad ziemią, już też w jej głębi. Prócz tego ujrzymy tam jeszcze mnóstwo krętych ścieżek, schodów, podpór i t. p. Kopce te tak szczególnie są zbudowane, iż największy deszcz nie przesiąknie do ich wnętrza.

Lecz jeżeli godną jest podziwu zmyślność i pracowitość mrówek w budowaniu mieszkań swoich, nie mniej uderzającą jest ich troskliwość w wychowaniu potomstwa. Po złożeniu jajek, gdy gąsienice (czyli liszki) z nich wyjdą, zatrudniają się one starannie ich wyżywieniem i troskliwie pielęgnują. Liszki te przemieniają się potem na białe poczwarki, podobne do ziarnka kaszy owsianej. Te poczwarki we dnie wynoszą mrówki często na słońce lub w cień, a wieczorem znowu do mrowisk znoszą. Dosyć jest, dla przekonania się o tej troskliwości, rozrzucić jakie mrowisko, a spostrzeżemy, jak tysiące mrówek skrzętnie się uwija, rozrzucone poczwarki troskliwie znosi, i w mrowisku przechowuje, a zapewne żadna obcej nie zabierze. Poczwarki te białawe, mylnie są nazywane *jajami mrówczemi*, bo jajka mrówek są drobne, zaledwie wielkości ziarna piasku dochodzące. Z poczwarek dopiero wychodzą mrówki.

Mrówki należą do owadów użytecznych, z ich kwasu, robi się *spirytus mrówczany*, używany na lekarstwa, lub też przyrządza się ocet mrówczany; poczwarki mrówek, (owe niby to mrówcze jajka) są ulubionym pokarmem słowików; prócz tego w ich mrowiskach znajdujemy *mirę krajową*, której się używa do kadzenia, a którą w święto Trzech-Kroli lud nasz przynosi do święcenia, na pamiątkę ofiarowanej niegdyś miry nowonarodzonemu Zbawicielowi naszemu. Mira nasza składa się z okruszyn sosnowéj żywicy, która przesiąkłszy kwasem mrówczanym, w zapaleniu dość przyjemny i zdrowy zapach wydaje. Po wsiach używają także mrówek do wytępienia li-

szek objadających kapustę, a to rozsypując po zagonach zebrane z pól lub lasów mrowiska.

W bardzo ciepłych krajach żyje mrówka wędrowna, która i do cala długości dochodzi. Robi ona mrówiska do 4ch łokci głębokie, i wyściela je liściem. Dla zebrania zaś liści udają się te mrówki gromadnie do lasów i tam jedne włażą na drzewa i obgryzają liście, drugie zostają pod drzewem i przecinają na drobniejsze części spadłe z drzewa listki; nareszcie i tamte z drzewa spadają, i wspólnie zanoszą do mrowisk zebrane zapasy. W czasie długotrwałych deszczów, gdy im braknie pokarmu, wędrują one tam w odległe strony, i wciskają się do wszystkich zakątków mieszkań ludzkich. Mieszkańcy tamtejsi chętnie ustępują tym przyjaźnym gościom swoich domów i pozostawiają je otworem, bo w krótkim czasie oczyszają im mieszkania z myszy, szczurów, i innych owadów, które się tam zagnieździły. Wędrówki te odbywają nawet przez małe strumyki, a do przebycia ich szczególny most przyrządzają. Jedna z silniejszych mrówek siada na kawałku kory przy brzegu, podczas gdy druga mrówka jéj się czepia, téj znowu inna i t. d. Potém pierwsza siedząc na łódce, robi nogami jak wiosłami i płynie ku drugiemu brzegowi; gdy tym sposobem most mrówczany przeciągnie, wtedy wszystkie mrówki, przechodząc po towarzyszkach swoich, jakby po łódkach, przeprawiają się na drugą stronę.

Mrówki wędrowne napadają i w polach na myszy i szczury, nasze zaś mrówki objadają je tylko, gdy je napotkaja nieżywemi, a chrabąszcze i bąki-końskie są największemi zwierzętami, na które się u nas odważają.

Utrzymują, iż owad ten stosunkowo jest najmocniejszy ze wszystkich, albowiem odrobinę, choćby ołowiu, tak wielką jak sama mrówka, unieść może, a czego żadne stworzenie stosunkowo do swéj wielkości nie dokaże; bo niechnoby na konia włożono tyle ołowiu, jak sam jest duży, a pewnieby go nie uniósł. Powiadają iż mrówka zebranym w lecie zapasem w zimie się żywi; lecz gdy wiadomo jest, iż ona w zimie żyje w odrętwieniu, tedy sądziéby należało, że i

mrówka podobnie jak i inne odrętwiałe w zimie zwierzęta, np. niedźwiedzie, niepotrzebuje w tym czasie pokarmu.

Jakkolwiek pomiędzy mrówkami nic, prócz miłości, zgody i równości dostrzegać się nie daje, jednakowoż wytępiają się one pomiędzy sobą, gdy się zanadto rozmnożą; ale nie zdradziecko i nie chytrością, i nie podejściem to czynią, jak wiele innych owadów, tylko spotykają się z sobą w otwartém polu, jak dwa regularne wojska. Ich bronie stanowią: małe żądła, pyszczki i kwas ostry, który lekkie zaczerwienienie na ciele człowieka sprawia. Do wojny są jednak tylko zdatne robocze mrówki; inne uciekają, gdy im się pora wydarza.

Bezżądłowe to jest samce ukąsiwszy drugie, szybko się tyłem obracają, aby w ich rany swój kwas ostry zapuścić. Jeżeli zaś nieprzyjaciel jest oddalony, to stawiają się w szybki, przechylają brzuchy pomiędzy nogi, i pryskają kwasem, jak tylko zasięgnąć mogą; często téż widzieć można, jak z wierzchu ich kopca deszcz mrówczanego kwasu w górę pryska, wydając woń podobną spalonéj siarce. Nad wszystkich nieprzyjaciół lękają się najbardziéj innych mrówek, nie wyłączając i najmniejszych, bo tych zaraz mnóstwo się do nóg większych czepia, wkoło niemi kręci, i do ucieczki przeszkadza. Podczas walki zdumiewać się przychodzi nad ich odwagą, bo rozjątrzywszy się w boju, dozwalają sobie raczej nogi oberwać, niż się poddać, często téż oberwane głowy, albo całe nieżywe mrówki wiszą u nóg uchodzących mrówek.

Między mrówkami równéj wielkości, żądłowe, to jest samice i bezpłciowe są najgroźniejsze.

Większe napadają na mniejsze nieubłaganie: ujmują je wpół i duszą pyszczkiem; ale jeżeli się wprzód małe spostrzegą, wtedy kupami przyprowadzają sobie inne na pomoc.

Brunatno czerwone t j. większe mrówki, wyszedłszy z swego mrowiska, podchodzą aż do bram jasno-czerwonych, które choć o połowę od nich mniejsze, ale też są daleko liczniejsze, i także się odważnie bronią; jednakże po większéj części pobite bywają, i wtedy często o 50 stóp od mieszkania swego się oddalają, zabierając z sobą wszystko, co tylko im może być przydatném. Po drodze rozstawiają małe oddziały

na straży, które zbliżającą się wielką mrówkę zaraz aresztują; jedna wskakuje jej na kark, okręca się około głowy i zlewa ją kwasem, przytem mocują się z sobą; inne, przybywszy jej na pomoc, zagryzają ją lub biorą w niewolę.

(Dok. nast.)

Rozmaitości.

Gdy Filip V, król hiszpański przejeżdżał przez jedno miasteczko, burmistrz miejscowy tak go powitał: Najjaśniejszy Panie! długie przemowy utrudzają mowcę i nudzą słuchacza. Pozwól więc, abym ci zaśpiewał piosneczkę! A otrzymawszy pozwolenie, śpiewać zaczął ułożone na cześć monarchy wiersze, które się tak Filipowi spodobały, że zawołał: Da Capo! Burmistrz nie dał się prosić i piosneczkę z jeszcze większym zapałem odśpiewał.— Ucieszony król kazał mu dać 10 luidorów: Da Capo! zawołał na odwrót burmistrz; a rozweselony przytomnością umysłu Filip, kazał mu za ten żart wyliczyć drugie 10 luidorów.

Sen i śmierć. Bratersko ujęci, wędrowali z sobą anioł snu z aniołem śmierci. Było to w wieczór. Siedli na pięknym wzgórku niedaleko mieszkań ludzkich. Cichość panowała w około; odgłos wieczornych dzwonów przebijał tylko kiedy niekiedy powietrze. Spokojnie i milcząc, (jak to obyczajem bywa) siedzieli dwaj bracia, a noc zbliżała się. W tem powstał anioł snu z miękkiej darniny, i jął sypać dary swoje z rogów, które trzymał w ręku. Wieczorne wietrzyki rozniosły je na skrzydłach po mieszkaniach strudzonych rolników. Wnet sen słodki wszystkich ogarnął od starca, który na kiju się wspiera, do niemowlęcia w kołysce. Chory zapomniał o bolach, nieszczęśliwy o smutku, ubogi o nędzy. Powieki wszystkie oczy przykryły, wszystkie stany się zrównały. Dopełniwszy obowiązku swego dobroczynny anioł, sam się położył obok czuwającego brata. Gdy zorza zajaśniała, podniósł się i zawołał radośnie: błogosławią mnie teraz ludzie, jako przyjaciela i sprawcę dobrego. O jakaż to rozkosz, niewidzialnie dobrze czynić! Posłańce wielkiego ducha, jakże szczęśliwi jesteśmy! jak piękne, ciche powołanie nasze! Tak mówił anioł snu. Spojrzał na niego anioł śmierci z boleścią i przyćmione już czarne oko łza jeszcze bardziej przyćmiła. Ach, czemuż wyrzekł, i ja myślą o wdzięczności synów człowieka cieszyć się nie mogę? mnie ludzie swym nieprzyjacielem zowią. Co wówisz? bracie! powiedział anioł snu; czyż i ciebie sprawiedliwy przy wielkiem ocknieniu swojem dobroczyńcą nie uznaje? czyż cię nie błogosławi? nie jesteśmyż braćmi

i posłańcami jednego ojca? Tak powiedział, i oko anioła śmierci błysnęło także radością.

Pewien bogacz pytał się ubogiego człowieka, z czegoby żył? ubogi mu odpowiedział: gdybyś mnie się raczej pytał, z czego umieram? wtenczasbym ci odpowiedział, że z głodu.

Wsiadającego na okręt żeglarza spytał się filozof: mój kochany, powiedźe mi, gdzie twój ojciec umarł? Utonął, odpowie żeglarz. A twój dziad i pradziad? — Także. Jak więc, rzecze filozof, śmiesz puszczać się na morze? — Na co żeglarz: Powiedzże mi także panie filozofie, gdzie twój ojciec umarł? Spokojnie na łóżku, tenże odpowiedział. A twoi przodkowie? tymże samym sposobem. Jakże ty tedy, zawołał żeglarz, śmiesz się kłaść codziennie w łóżko.

Śmierć żołnierza.

Hanka polewa w swym ogródku róże,
Aż tu przybiega konik na podwórze,
Koń białonogi, oko ma sokole,
Swietną maść gniadą i gwiazdę na czole.
Patrzy się Hanka, to konik Stefana,
Gdzieżeś, koniku, podział swego pana?
Mojego brata z jasnemi oczami,
Co miesiąc temu, jak się żegnał z nami!
Pośród łez rzewnych, pośród broni szczęku,
W rycerskim stroju, z chorągiewką w ręku.
Ty to pamiętasz koniku Stefana,
Lecz gdzieżeś, gdzieżeś podział swego pana?
Ale kasztanek smutnie zwiesił głowę,
Jakby pojmował tkliwą Hanki mowę!
Bił nogą w ziemię, jaky mówić żądał,
I wciąż za siebie z żałością poglądał.
Przejrzyj się Hanka aż on krwią zbroczony.
Tu już żalowi wytrzymać nie może,
I zacznie wołać: nielitośny Boże!
Więc mi zabrałeś, com najdroższe miała
To, com po tobie najwięcej kochała.
Więc i mnie zabierz w jasne progi twoje,
Bo się na ziemi dłużej nie ostoję.
Niedługo potém przy księżyca blasku
Grzebali mężnych na raszyńskim piasku,
A w pięknej wiosce, kędy Hanka żyła
Świeża mogiła w cmentarzu przybyła.

Redaktor i wydawca odpow. Kazimierz Okaz. — Z drukarni K. Budweisera.